

Diast



Dodatek niedzielny oświatowo-społeczny Dziennika Kujawskiego

Rok VI.

INOWROCŁAW-WŁOCŁAWEK, dnia 15 listopada 1936

Nr. 46.

DZIS A PRZED 5.000 LATY.



Ostatnie dzieło amerykańskiej techniki — pociąg o liniach opływowych i wóz sprzed 5.000 lat, zaprzężony w woły, najlepiej ilustrują postęp z dziedziny komunikacji. Udają się one na wystawę stulecia, jaka otwarta została w Texasie w Stanach Zjednoczonych.

HILARY MAJKOWSKI.

Kolegiata kościelecka w nowej szacie

Działalność budowlana w stolicy Wielkopolski ożywiła się znacznie z chwilą, kiedy w roku 1253 z woli książąt Przemyśla i Bolesława założono na lewym brzegu Warty nowe miasto, na prawie magdeburskim, zapewniające nowym osadom liczne przywileje i znaczne korzyści. Niebawem też powstaje w tym obrębie szereg nowych świątyń, a stare doń przylegające fundacje kościelne zyskują na znaczeniu. Przede wszystkim korzysta z tej zmiany zakon XX Dominikanów, osiadły od roku 1231 przy kościele św. Małgorzaty na Śródcie. Za pozwoleniem wymienionych książąt przenosi się on na lewy brzeg Warty w roku 1244. Jak tradycja głosi, zakon ten miał objąć w posiadanie kościół św. Gotarda, znajdujący się mniej więcej na miejscu dzisiejszego kościoła poddominikańskiego. Z tego pierwotnego kościoła, osady dominikańskiej, nie pozostało ani śladu. Podobnie i w kościołach podmiejskich — św. Marcina, fundowa-

nego około roku 1240 przez Przemyśla I, i św. Wojciecha, budowanego sumptem Przemyśla II r. 1244 — nie zachowały się żadne fragmenty architektoniczne tych czasów. Datą swego założenia sięgają również wieku XIII klasztor pp. Katarzynek czyli Dominikanek, oraz kościół parafialny nowego miasta pod wezwaniem św. Marii Magdaleny, założony imieniem kapituły poznańskiej. Niestety kościół ten spalił się w roku 1447 wraz z całą połacią miasta, prawie doszczętnie. Na jego miejscu wznosił w roku 1471 ówczesny biskup poznański, Andrzej z Bnina, okazałą świątynię gotycką, zamieniając ją równocześnie na kolegiatę. I tutaj losy nieprzychylnie sprawiły, że ta najbogatsza świątynia przy Nowym Rynku, która stanowiła przez kilka wieków dumę mieszczaństwa i zaznaczyła się swoją wyniosłą wieżycą tak dominującą w sylwecie całego grodu, zniknęła zupełnie z powierzchni wraz z całym swoim bogactwem. Historia kul-

tury miasta poniosła przez ten ubytek niepowetowaną stratę.

Postęp widoczny w dziedzinie budownictwa kościelnego nie mógł pozostać bez wpływu na budownictwo świeckie. Jedną z głównych potrzeb nowego miasta, tak po myślnie się rozwijającego, stał się z czasem nade wszystko gmach administracyjny. Wzniesiony na rynku około 1310 r. — ratusz, po raz pierwszy z tej daty wzmiankowany jako „domus consulum“ przechował do dzisiejszego dnia nieliczne fragmenty swej pierwotnej architektury. Zaiste, dziwne przechodził ratusz poznański koleje.

Odbudowany w formie późnego gotyku za czasów Zygmunta I. co wynika z dwu ozdobnych oddrzwii, pochodzących z tego czasu, a mieszczących się w sali recepcyjnej, obecnie „salą odrodzenia“ zwanej, spłonął doszczętnie niemal w czasie wielkiego pożaru, powstałego w dzielnicy żydowskiej w roku 1536. Jakkolwiek wskazują ślady, że około 1541 r. ratusz przynajmniej częściowo odbudowany został w stylu wczesnego renesansu, to jednak miastu, dochodzącemu wówczas wielkiej świetności i bogactwa, nie wystarczały już ani obszerność jego murów, ni piękność struktury. To też sławetna rada miejska, zachęcona niezawodnie wspaniałością gmachów zygmuntowych w Krakowie, zawarła w roku 1550 z „muratorem“ Włochem Giovannim Battista di Quadro umowę, w celu zupełnej przebudowy i powiększenia gmachu miejskiego.

O budowniczym ratusza poznańskiego wiemy tyle, że przybył on około 1550 roku z Lugano wespół z braćmi, — Antonim, Kilianem i Gabrielem, oraz licznymi pomocnikami do Poznania. Trójka braci pozostała w mieście do wiosny roku 1552, a Battista zakontraktowany jako miejski budowniczy, pozostał tu do końca życia swego († 1590). Ożeniwszy się z poznanianką, córką kupca Sztameta, wybudował sobie dom własny u wylotu dzisiejszej ulicy Zamkowej (północ Starego Rynku), rozwijając na szeroka skalę swe przedsiębiorstwo budowlane. I tak przypisuje się mistrzowi — wierną acz miniaturową replikę ratusza poznańskiego — ratusz w Chełmnie na Pomorzu, sklepienia dawniejszego do mu Humłów przy ulicy Wrocławskiej pod nr. 7 w Poznaniu, architekturę grobowca Konarskich w części północnej katedry poznańskiej, oraz przebudowę południowej kaplicy kościoła w Kościelcu powiatu inowrocławskiego.

Kościół w Kościelcu daje nam dobre pojęcie o charakterze kościołów wiejskich z XIII. wieku. Jednonawowy, z małym chórem, zakończony półokrągłą absydą, posiadał od frontu dość silną wieżę obronną, do której wejście prowadziło tylko od wewnątrz przez empore, zawieszoną na drugim piętrze, oświetloną za pomocą przezrocza kolumniowego. Wzmiankowany w 1362 roku („ecclesia in Kosszciol“), a poświęcony św. Małgorzacie, podniesiony został 1488 roku do godności kolegiaty. Kościół ten zachował się do dni naszych w swej bardzo starożytnej formie, należy przeto do najcenniejszych zabytków epoki romańskiej na ziemi wielkopolskiej. Budowany z granitu, ma kościół ten w dolnej kondygnacji czworobocznej wieży dobrze dotąd utrzymane sklepienie krzyżowe. W czasie późnogotyckim kościół został odrestaurowany, podwyższono wówczas tak kościół sam jak wieżę, a w presbiterium wykonano sklepienie gwiazdowe.

Kaplica dodana została w wieku XVI. Jest ona dziełem Giovanniego Battista di Quadro, a przypuszczalnie wybudowana została około roku 1559, na co wskazuje data jednego z najstarszych nagrobków w tym roku wzniesionego. Zachowała ona po teraźniejszość wystrój pierwotny. Budowana w kwadracie, w rogach którego widnieją stiuki z herbami: Ogończyk, Godziemba, Łódzia i Nałęcz, ma brzeg dachu okolony murowanymi atykami, przypominającymi ratusz poznański. Front zdobny jak i na ratuszu poznańskim — w technice al sgraffitto, t. j. dwie warstwy narzuczonego tynku.

Ma kościół w Kościelcu kilka cennych zabytków, j. n. podwójny grobowiec Jana Kościeleckiego, wojewody Łęczyckiego († 1545) i syna tegoż, Janusza, wojewody Sieradzkiego, wykonany w roku 1559, dalej nieco późniejszy Gertrudy Kościeleckiej, małżonki Janusza. Charakterystyczną odmianą, prawdopodobnie pod wpływem kaplicy zygmuntońskiej, była kompozycja dwupiętrowa, jaką widzimy w katedrze poznańskiej w grobowcu Górków (dzieło artvst

włoskiego Hieronima Ganavesi, obywatela krakowskiego, jak głosi pretensjonalny, w najwidoczniejszym miejscu wyryty napis), podobnie zbudowane pomniki Opalińskich w Kościanie i Radlinie, Gostomskich w Środzie, Czarnkowskich w Czarnkowie i Kościeleckich w Kościelcu.

Z innych zabytków zasługuje na uwagę krucyfiks — późnogotycki, dwa konfesjonały z pierwszej połowy XVI w., renesansowa ambona, ołtarz wielki i dwa boczne renesansowe, ołtarz boczny barokowy, monstrancja barokowa, — srebrna (1727), z tej epoki kielich pozłacany.

W ostatnim czasie, dzięki staraniom ks. prob. Zygmunta Wierzbickiego, a przy poparciu materialnym patrona Edwarda hr. Ponińskiego, odnowiono przewspaniale historyczny ten zabytek. Prace polichromii wewnątrz, złocenia ołtarzy, odnowienia obrazów, a także nadzór artystyczny nad całością, powierzono znanemu artyście-malarzowi poznańskiemu — Henrykowi Nostitz-Jackowskiemu, twórcy szeregu wspaniałych dekoracji w świątyniach wielkopolskich i pomorskich. Przypatrzmy się bliżej pracy Jackowskiego w kościele kościeleckim.

Ściany głównej nawy utrzymane są w kolorystyce złota, w technice woskowej, t. zw. „cera colia“, sklepienia presbiterium i nawy w równie ciepłym — jaśniejszym tonie. — Bogatą ornamentyką przyozdobiono gotyckie żebrowania presbiterium, tudzież podłucha w presbiterium i u wejść do kaplic, gdzie zastosował artysta współczesny ornament, w dwu kolorach, dopasowany do całości architektonicznej. — Dwie kaplice otrzymały kolor złamany - różowy. Kasetony sztukateryjne w kaplicy Quadra mają jako tło kolor stalowo niebieski, kaplica nowa, t. zw. druga, kasetony projektu artysty, typu współczesnego na tle seledynu.

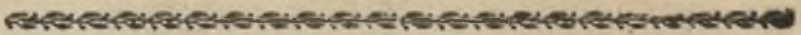
Pozłożono ołtarz główny, dwa boczne i dwa w kaplicach, z wystrojem barokowym i rokokowym. Fatalne malowania olejne wapiennych nagrobków Kościeleckich zostały usunięte. Tym sposobem doprowadził Jackowski dwa — piękne pomniki sztuki rzeźbiarskiej XV wieku do pierwotnego stanu. Odrestaurowano również wspaniałe ambone, oraz liczne obrazy w ołtarzach i wizerunki dawnych patronów i proboszczów miejscowych.

Z inicjatywy i sumptem patrona kościoła hr. Ponińskiego, wykonano na zewnętrznej stronie współczesnej kaplicy nowe sgraffito według wzoru kaplicy di Quadro. Na pochwałę rzemiosła inowrocławskiego (p. budowniczego Zielenackiego) należy podkreślić pierwszorzędne wykonanie tej pracy, tak sumiennie przeprowadzonej pod okiem Jackowskiego. Odrestaurowano również dawniejszą bramę wjazdową w stylu renesansu, oraz zniwelowano i wydrenowano teren okalający kościół.

Mamy więc odnowiony zabytek, który zajaśniał teraz całą krasą swej pierwotnej piękności. Należy się za to wdzięczność przede wszystkim hr. Ponińskiemu i ks. proboszczowi Wierzbickiemu, że uchronili historyczny ten kościół od zagłady i zeszpecenia, co dziś jest — niestety — u nas dość często spotykanym objawem, szczególnie wśród nieznających i nie rozumiejących historycznego piękna zabytków sztuki rodzimej Polski Zachodniej, niemniej wśród — pseudo-artystów, dewastujących swą nieudolnością to, co przetrwało wieki, burze dziejowe, pod zrozumiałą opieką ludzi kulturalnych.

Za to zrozumienie należy się niemniejsza wdzięczność Henrykowi Nostitz-Jackowskiemu, autorowi nowych i tak udanych dekoracji wnętrza kościoła.

Poznań, w listopadzie 1936



— Wystawa prac Laszenki w Toruniu. W salach Dworu Artusa otwarta została wystawa obrazów znanego — orientalisty polskiego Aleksandra Laszenki, która obejmuje przeszło 70 najnowszych dzieł artysty, wykonanych podczas ostatniej podróży po wschodzie w roku 1935. Tematem obrazów są przede wszystkim motywy pejzażowe z Synaju, Egiptu, Hedżasu, Transjordanii i Ziemi Świętej. Osobny dział stanowią staranne drzeworyty z teki wschodniej i myśliwskiej. Prof. Laszenko przybył osobiście do Torunia na otwarcie swej wystawy. Dochód z biletów wstępu przeznaczono na Fundusz Obrony Narodowej.

Doktor z Kujaw, który żyć nie umiał

Tragiczne dzieje Józefa Ulatowskiego.

Z kolegów gimnazjalnych Jana Kasprowicza, którzy żyli z nim bliżej na gruncie inowrocławskim, kilku poświęciło się zawodowi dziennikarskiemu, — że wymienimy choćby śp. Józefa Siemianowskiego z Szarleja i śp. Józefa Ulatowskiego z pod Strzelna.

Józef Jastrzębiec-Ulatowski, późniejszy dr. phil. et chem., urodził się w Sukowach nad Gopłem 29-go października 1860 r. Po ukończeniu gimnazjum inowrocławskiego, studiował chemię we Wrocławiu, Berlinie i Gryfii. Egzaminy zdał summa cum laude, zdobył duży zasób wiedzy, a że odznaczał się ogromnymi zdolnościami, proponowano mu docenturę na uniwersytecie w Gryfii. Odmówił. Szczery Polak i wypróbowany działacz narodowy wśród polskiej młodzieży akademickiej, a zdolny chemik wrócił do kraju, gdzie niestety czekała go ciernista droga niepowodzeń życiowych. Praktyczny zawód chemika rozpoczął w polskiej stacji doświadczalnej dla rolnictwa w Żabikowie pod Poznaniem, po czym kolejno pracował w kilku cukrowniach wielkopolskich. W cukrowni żnińskiej spotkało go straszne nieszczęście, które raz na zawsze złamało jego karierę chemika: Uległ podczas doświadczeń wypadkowej silnego poparzenia głowy i twarzy, który tak dalece nadwyreżył jego oczy, że nawet po ich częściowym wyleczeniu — musiał porzucić ukochany zawód, gdyż osłabiony wzrok uniemożliwił mu pracę laboratoryjną chemika.

Dr. Józef Ulatowski został dziennikarzem. Wrodzone zdolności i wykształcenie pomagały mu w żmudnej orce dziennikarskiej, lecz niepraktyczność życiowa tego wybitnego naukowca nie pozwoliła mu na dostateczne zabezpieczenie swej egzystencji.

Tak był skromny jak skromni są wszyscy ludzie wielkiej nauki. Był tak skromny, że nie umiał swej rozległej wiedzy zużyć dla siebie, zamienić jej na brzęcząca monetę, ale szafował nią szczerze wszędzie, gdzie dane mu było pracować. A pracował wytrwale i intensywnie.



Obrazek z ostatniego wylewu Tamizy, która zalała drogi i ulice nadbrzeżne miast

Mówiono, że był „chodzącą encyklopedją”. Znał wiele i umiał wiele. Bardzo dużo. Ale jakimś dziwnym zbiegiem okoliczności nie mógł ogromu swej wiedzy zużyć tak, jakby tego od niego można było wymagać. Może to i wina jego usposobienia, które nie pozwalało mu szukać nigdzie poparcia, a może wina losu, fatalnego iście przeznaczenia.

Kiedy 20 stycznia 1902 r. Piotr Paliński zaczął w Gnieźnie odsiadywać 4-miesięczną karę więzienną jako redaktor odpowiedzialny „Lecha”, poprosił Zarząd Drukarni Spółkowej na jego następcę Józefa Chociszewskiego. A, że czcigodny senior literatów wielkopolskich, wierny swym przekonaniom, zamieścił w „Lechu” rzekomo obraźliwy dla prusactwa artykuł, zwolniono go z zastępstwa. Wtedy to funkcje redaktorskie „Lecha” oddano dr. Józefowi Ulatowskiemu, który pełnił je przez okres ca 3-ch miesięcy.

W październiku 1902 r. odchodzi z „Dziennika Kujawskiego” redaktor Ludwik Gayzler, by ustąpić miejsca przybyłemu z Gniezna dr. Józefowi Ulatowskiemu, który jest odpowiedzialnym redaktorem z krótkimi przerwami do czerwca 1905 r. Kierownictwo redakcji pozostaje w ręku Kazimierza Jankowskiego.

Obu tych ludzi pchnął do dziennikarstwa przypadek. Dr. Ulatowski, nie mogąc pracować jako chemik, przerzucił się do dziennikarstwa. Bogatą dysponował wiedzą, brakło mu jednak zacięcia dziennikarskiego.

Za jego czasów strasznie hulala hakata: wywłaszczenia, chrzty pruskie, niemczenie dzieci szkolnych były na porządku dziennym. W tych trudnych chwilach kierował pismem Kazimierz Jankowski, Pomorzanie (ur. w Pelplinie 1867 r.), niedokończony prawnik, który z konieczności jął się trudnego zawodu dziennikarskiego. Nadał on pismu kierunek skrajnie bojowy. „Dziennik” za jego redakcji zwalczał nieubłagane, bezwzględnie, prosto z mostu sławetne postępkę rozpasanej hakaty, tępił surowo i bezlitośnie sprzedawczyków, występował odważnie w obronie interesów polskich, ośmieszał pruski system szkolny, miotał gromy na twórców i zwolenników „prawa o wywłaszczeniu”, wykazywał na każdym kroku niemoralność i fanatyzm faworyzowanych przez rząd pruski „kulturtraegerów”. Ton pisma był bojowy. Nic też dziwnego, że jeden z prokuratorów nazwał „Dziennik Kujawski” najzacieklejszym pismem antyniemieckim.

Bojowość „Dziennika” doszła do szczytu w 1904 i 1905 r., kiedy to radni miejscy Niemcy i żydowscy zmienili nazwę Inowrocławia na „Hohensalza” — mimo stanowczych protestów ludności polskiej.

Lamy „Dziennika” przepelnione były podówczas artykułami, notatkami, feljetonami i wierszykami zjadliwymi na ten temat oraz sprawozdaniami z wieców protestacyjnych i licznymi głosami czytelników, wyrażających swe oburzenie pod adresem Niemców i żydów.

Artykuły „Dziennika” cytowała wtedy cała prasa polska we wszystkich zaborach oraz prasa zagraniczna: francuska, angielska, rosyjska.

Radykalne wystąpienia „Dziennika” nie pozostały bez smutnych konsekwencji. Procesy prasowe sypały się na głowy redaktorów jak z rogu obfitości. Dr. Ulatowski dwakroć odsiadywał karę więzienną (miesiąc za rzekomą obrazę pewnego gospodarza w Ciencisku i 4 miesiące za obrazę nauczyciela Walitschka w 1905 r.). W czasie, gdy Ulatowski siedział za kratkami więziennymi, odpowiedzialnym redaktorem

rem był Jankowski. Na początku 1905 r. ustąpił dr. Ulatowski z redakcji „Dziennika Kujawskiego” i opuścił Inowrocław.

Stąd przeniósł się na Pomorze, gdzie przez długie lata pracował w redakcji „Gazety Grudziądzkiej”, poświęcając się również gorliwie pracy społecznej. Za czasów zaborczych był z tego powodu niejednokrotnie narażony na konflikty z władzami pruskimi i cierpiał dla sprawy.

W Grudziądzu również walczył z zaciętkością hakaty, narażając się na liczne procesy.

Nie miał za swoją pracę wytrwałą, a znojną żadnego odznaczenia. Nie pozostawił też po sobie nic prócz miłości tych, którzy go znali i wdzięczności w sercach tych, którzy pracę jego widzieli i cenić ją umieli.

W „Gazecie Grudziądzkiej” jako redaktor pracował ciężko aż do ukończenia wojny światowej, z trudem utrzymując liczną swą rodzinę. Z chwilą nastania Niepodległości opuścił redakcję „Gazety Grudziądzkiej” w przekonaniu, że przysłuży się Ojczyźnie swymi właściwymi kwalifikacjami naukowymi. Ale i tu spotkał go bolesny zawód, gdyż tak długo wolno mu było tylko jako chemikowi pracować, aż nie znalazła się młodsza siła zastępcza.

Sp. dr. Jastrzębiec-Ulatowski (nie Lubicz, jak to mylnie na wiadomość o jego śmierci prasa podała) pracował w licznych organizacjach na terenie Grudziądza. Obojętne mu było zabarwienie polityczne danej placówki społecznej. Wszystkich bowiem jednak za Polaków uważał i pragnął, by szczerze dla Polski pracowali. I choć może nie głośno, nie krzykliwie, ale zawsze stanowczo potępiał tych, których uważał za szkodników sprawy narodowej.

Był długoletnim członkiem Syndykatu Dziennikarzy Pomorskich i koła dziennikarzy grudziądzkich, długoletnim sekretarzem Pomorskiego Związku Tow. Pszczelniczych i wiceprezesem Tow. Pszczelarzy w Grudziądzu, członkiem honorowym „Sokoła” grudziądzkiego i „Lutni” tamtejszej oraz wielu innych towarzystw. Szczególnie oddany był naukowym badaniom przyrodniczym, miewał często wykłady

zwłaszcza w tow. pszczelarskich i ogrodniczych w Grudziądzu i na prowincji. Znał ośm języków europejskich i uchodził za człowieka nieprzeciętnej wiedzy.

Że był Polakiem miłującym kraj największą, najświętszą miłością, tego dał dowody niejednokrotnie, zwłaszcza w czasach naszej niewoli, kiedy każdy redaktor szczerze polskiego pisma był bojownikiem sprawy narodowej.

Żył w warunkach więcej niż skromnych, borykając się w walce z losem o kęs chleba codziennego.

Józef Ulatowski wraz z bratem swym Tadeuszem przysłużył się i w pewnej mierze literaturze polskiej, dostarczając dr. Wandzie Brzeskiej cennych materiałów źródłowych do rozprawy pt. „Lata szkolne Jana Kasprowicza”. Józef Ulatowski dał w książce tej m. in. dość dokładny i wierny obraz środowiska, w którym obracał się Jan Kasprowicze jako uczeń gimnazjalny w Inowrocławiu.

Dr. Józef Ulatowski zmarł w Grudziądzu dnia 18-go września 1934 r., a w trzy dni potem spoczął na wieki w ukochanej ziemi pomorskiej. W pogodny jesienny dzień wrześniowy odbył się pogrzeb tego nieodżałowanej pamięci naukowca i działacza. O godz. 8 rano za spokój duszy zmarłego odbyło się w kościele farnym w Grudziądzu nabożeństwo żałobne. W nabożeństwie, prócz licznej rzeszy rodziny, krewnych i znajomych, udział wzięli reprezentanci miejscowych organizacji społecznych, których zmarły był członkiem. Popołudniu przed domem żałoby zgromadzili się wszyscy, którzy pragnęli oddać mu ostatnią usługę. Kondukt żałobny prowadził ks. Szyrwelski w asyście trzech księży. W pogrzebie brały udział liczne organizacje, do których należał zmarły, a pienia żałobne nad grobem wykonał chór „Lutni”. W pogrzebie brali udział: Wiktor Kulerski, szambelan Szychowski, wiceprezydent Michałowski i liczni przyjaciele i sympatycy zmarłego.

Taki oto jest żywot tragiczny dr. Józefa Jastrzębiec-Ulatowskiego z Kujaw, żywot człowieka wielkiego umysłu i serca. Losy żyć mu dostatnio i zabłysnąć nie dozwoliły, a on sam niestety żyć nie umiał.

Inowrocław, w listopadzie 1936 r.

FRANCISZEK BECIŃSKI.

J a b ł o ń

...ta przed chatą stojąca jabłoń
i rojów pełna pasieka —
Jak drogie to wszystko mi znowu,
gdy patrzę dziś na nie z daleka.

A dzieli mię przestrzeń szalona,
i drogi się wszystkie zatarły —
I nigdy już tam nie wrócę
ni żywy, ni umarły....

Lecą z drzew ciągle złote liście,
wiatr je drogami pędzi, goni...
— jeno już nigdy liście żadne
z onej nie spadną jabłoni!

— Treść bez treści. Julian Tuwim wydał nowy tom poezji pt.: „Treść gorejąca” (J. Mortkowicz, Warszawa). Tuwim jest typem poety werbalistycznego. Popularność jego wynika ze swoistych tricków stylistycznych i w pointachach zawartej poetyckości, której temperaturę liryczną autor podnosi stale tymi samymi chwytami (groza metafizyczna najbardziej banalnie pojęta, symbolika wyrazów, pisanych z dużych liter itp.). Stosunek poety do Ojczyzny jest płytki, koniunkturalny, Polakowi zupełnie obcy („Wiersze o państwie”, „Historia”). Treść tomu ani nie „goreje”, — ani nie jest głęboka poetycko. Można w ogóle zakwestionować czy jest naprawdę treścią.



W Tokasaki — (Japonia) postawiono olbrzymich rozmiarów betonowy pomnik jednej z bogiń japońskich. Pomnik ten ma 50 m. wysokości i na zbudowanie go zużyto aż 5.300.000 kilogramów betonu. Jest to największy pomnik betonowy na świecie.

Setna rocznica urodzin księży Chodyńskich

Ks. A. B. pisze w ostatnim numerze Kroniki Diecezji Włocławskiej (listopad) o XX. Chodyńskich.

Wierzyć się nie chce, że 4 listopada mija już 100 od dnia, w którym, w r. 1836 ujrzeni w Kaliszu światło dzienne dwaj bracia — bliźniacy, Zenon i Stanisław Chodyńscy, którzy mieli w przyszłości stać się luminarzami wśród duchowieństwa diecezji włocławskiej, a nawet wśród duchowieństwa polskiego w ogóle i spełnić prawdziwie epokową rolę w dziejach wychowania kleru diecezjalnego.

Wierzyć się nie chce — bo tak żywa jest wciąż pamięć tych dwu patriarchów naszych, a sto lat czasu — to, przy dzisiejszym tempie życia i po tylu przewrotach o wszechświatowym znaczeniu, odległość tak bardzo daleka i przygniatająca swą przerażającą pełnią, że dziejowe nawet postacie i wypadki zatracają swą wyrazistość i giną wśród głuchych ech wiekowego chaosu.

Musiała więc być wprost niezwykła indywidualność tych dwu ludzi, że pozostali wśród nas przez lat tyle wciąż jako żywi, olśniewający nasze oczy zawsze jednakowo blaskiem i mocą, bijącą z ich postaci i budzący w sercach naszych jakąś dziwną, odmienną od innych, a niewypowiedzianą cześć i tkliwość... „defuncti adhuc loquuntur“.

Boć przecież bardzo niewiele, najstarszych jubilatów w naszej diecezji może sobie dzisiaj odtworzyć żywą sylwetkę Zenona (umarł lat temu 49 w r. 1887), a wielka część duchowieństwa nie miała już zaszczytu być uczniami i wychowankami Stanisława (w r. 1908 ustąpił ze stanowiska rektora i profesora Seminarium), lub przynajmniej widzieć go jeszcze rozmodlonego w stallach katedralnych lub w kościółku seminaryjskim, albo przesuwającego się bezszelestnie po korytarzu starego gmachu (zmarł w r. 1919). Mimo to jednak dla wszystkich są oni dotąd jakby żywymi i promieniującymi potęgą swojego ducha.

„Czem byli bracia Chodyńscy dla Kościoła, diecezji i Seminarium — piszą w październiku 1919 r. XX. Górzyński, Czapla i Filipski w swej odezwie do duchowieństwa w sprawie utworzenia Funduszu im. XX. Chodyńskich — nie potrzebujemy Wam, Wielebni Bracia, tu przypominać, gdyż mamy ich wszyscy w żywej jeszcze pamięci. Obaj byli luminarzami kleru diecezjalnego, wszyscy, ilu nas żyje kapłanów z ostatniego półwiecza, byliśmy ich uczniami i wychowankami. Ich dobre imię poza granice diecezji na całą Polskę slegające i uznanie, jakim się cieszyli wśród społeczeństwa i w kołach uczonych historyków, było naszą chlubą i sławą...“¹⁾

Dziwnie Bóg złączył ich życie nie tylko jednocześnie przyjsciem na świat i bliźniaczym podobieństwem rysów zewnętrznych, ale przede wszystkim bliźniaczo podobnymi, gorącymi duszami, wspólną, wielką miłością braterską i — rzadką w historii dwu ludzi — wspólnością swych dróg życiowych.

Razem kończą chlubnie Wyższą Szkołę Realną w Kaliszu, razem wstępują do Seminarium Duchownego we Włocławku, później do Akademii Duchownej w Warszawie, razem otrzymują święcenia kapłańskie w r. 1860, pracują jako wikariusze w Sieradzu, skąd w r. 1866 zostali razem powołani z powrotem do Włocławka na profesorów Seminarium Duchownego, gdzie Zenon przez lat 7 jest wice-regensem, później przez lat 14 regensem, a Stanisław, po jego śmierci bierze na siebie ten obowiązek i sprawuje go przez lat 21; razem są członkami Kapituły Włocławskiej i dochodzą w niej do najwyższych godności i wreszcie prawie tego samego, dnia choć w odległości 32 lat (16 maja 1887 — 15 maja 1919) odchodzą po nagrodę do Pana.

¹⁾ Kron. Diec. Nr. 10 i 11 r. 1919. str. 277.

Na przestrzeni całego swego życia jaśnieją wzorem cnót, z których jako główne rysy ich charakterów, wybijają się cztery: pobożność, pokora, prawdziwie apostołska gorliwość i niezwykła, bohaterska pracowitość. Takimi byli jako alumni Seminarium, później jako akademicy w Warszawie, gdzie poza pracą naukową całe godziny spędzali w konfesjonale lub na ambonie, pomagając duchowieństwu warszawskiemu, takimi również w Sieradzu, jako wikariusze. Ale dopiero w pracach profesorskich i rektorskich w Seminarium Duchownym cnoty ich zajaśniały pełnym blaskiem.

Byli pierwszymi świeckimi księżmi, którym, po kasacie XX. Misjonarzy oddano kierownictwo Seminarium. Ich praca wypadła na najcięższy okres historii Kościoła w Polsce — od powstania styczniowego do odzyskania niepodległości; — Seminarium zrujnowane, zdeorganizowane, pozbawione wszelkiej pomocy materialnej i uciskane zewsząd przez rząd zaborczy... A jednak dźwiga się ono szybko z upadku duchowego, powstają nowe mury i gmachy monumentalne, podnosi się coraz wyżej poziom naukowy, aż staje na czele wszystkich seminariów w Polsce... To owoc codziennej, zmudnej, pełnej bohaterskiego poświęcenia, gdyż już sił fizycznych nie stawało, tyloletniej pracy braci Chodyńskich.

Nie mieli czasu na sen — pracowali naukowo nocami, prowadzili wykłady każdy po kilka przedmiotów, Zenon mdlał, gdy wygłaszał konferencje dla alumnów, tak był wyczerpany fizycznie i przejęty gorliwością duchową — Stanisław, czekając pod drzwiami auli, ratował go; zastępowali się wzajemnie, nawet w ostatnim dniu życia Zenon nie chciał opuścić wykładów. Przygniatała ich przy tym troska codzienna o byt materialny Seminarium i walka o jego istnienie. A mimo tego ogromu prac, Zenon — jak niegdyś wielki świątobliwy kanclerz Gerson — przez wiele lat sam, w asyście alumnów, prowadził katechizację małych dzieci w kościółku Seminaryjskim i utrwalił praktykę katechizacji i uroczystej Pierwszej Komunii Świętej dzieci w całej diecezji, a Stanisław, jak pisze o nim we wspomnieniu pośmiertnym Ks. F. Cichocki, jego wikariusz — administrator w Wieńcu¹⁾ — gdy przyjeżdżał w każdą niedzielę do swej parafii, głosił słowo Boże, a konfesjonał jego zawsze był obleżony, jeździł nawet do chorych, mimo później podeszłego wieku, a chwile wolne od pracy pasterskiej spędzał często w kościele wienieckim na modlitwie przed Sanctissimum.

Było to więc podwójne nauczanie: słowem i przykładem życia kapłańskiego — to też działa do dzisiaj.

Skąd ci ludzie znaleźli jeszcze czas na opracowywanie i wydawanie dzieł naukowych, które prowadzili również wspólnie na niejednym temat?!

Puścizna naukowa po Zenonie, w stosunku do Stanisława (przeżył go o lat 32) mniej obejmuje pozycyji bibliograficznych, bo tylko 7, poza wielu artykułami i referatami źródłowymi.

Stanisław pozostawił po sobie 17 dzieł drukowanych (jedno z nich: „Monumenta Dioec. Vlad.“ obejmuje 25 tomów!), 18 w rękopisie, a oprócz tego blisko 300 (ściśle 277) artykułów i monografij w Encyklopedii Kościelnej i wielu pismach, z zakresu teologii pasterskiej, liturgii, historii, prawa, śpiewu(!) i medycyny(!) (z punktu historycznego) i 41 ułożonych dla diecezji rubricelli. Oprócz tego stworzyli jedną z największych i najcenniejszych bibliotek w Polsce, posiadającą przeszło 800 inkunabułów (3-cie miejsce w kraju!), nazwaną dziś imieniem Ks. Ks. Chodyńskich Stanisław, przez wiele lat pracując zamknięty w kapitułarzu, uporządkował bogate archiwum katedralne, w którym każdy rękopis został przez niego od-

¹⁾ Kron. Diec. — tamże. str. 315.

czytany, przepisany i umieszczony w osobnej kopercie z odpowiednim objaśnieniem.

Była to praca iście benedyktyńska, która pozwala dzisiaj uczonym z całej Polski korzystać z tych skarbów nauki.

Nic dziwnego, że poprzez taki żywot obydwaj bracia Chodyńscy stali się dla nas jakby spiżowymi postaciami, od których — można to śmiało stwierdzić zaczęła się nowa epoka w historii diecezji włocławskiej — i dlatego żyją wśród nas ciągle mocą swojego słowa i żyć będą i promieniować jeszcze na długie lata.

Ze czcią wielką wspominają o nich artykuły w Encyklop. Kośc. Ks. M. Nowodworskiego — t. III. str. 280, w Podręcznej Encykl. Kośc. Ks. Z. Chełmickiego, tt. 7—8, str. 35—37 i w Przeglądzie Histor. z roku 1919—20, str. 267-8.

Seminarium Duchowne uczci ten jubileusz 100-nej rocznicy ich urodzin wmurowaniem tablicy pamiątkowej w Bibliotece Semin. Ks. Ks. Chodyńskich i akademią w dniu 29 bm.

„Przed głową sędziwą powstań i czeij osobę starca“.
(Lew. 19:32).

KAZIMIERZ MALICKI.

Ż e b r a k

Po starych, smutnych drogach,
kuśtykał siwy dziad.
Słońce go ogrzewało
gdy sobie w rowie siadł.

Spożywał suchą kromkę,
i patrzył sobie w krąg
i czytał dawną książkę,
najmędrszą z wszystkich ksiąg.

Sam był i choć bez domu,
za dom miał cały świat.
W zacisznej stercie słomy
do snu się nieraz kładł.

Nikomu nie zazdrościł,
ni dóbr, ni żadnych cnót.
Choć nieraz mu w łachmanach
dokuczał kuma — chłód.

Przy starym krzywym krzyżu
dziad chory rankiem legł,
aż ujrzał ze zdziwieniem
że Jezus z krzyża zszedł

Wziął ci go Pan pod rękę
i powiódł go hen w dal:
Starego dziadowinę —
do rajskich powiódł chwał

Ludzie go tam znaleźli,
gdzie sobie w drodze siadł
Gadali obojętnie:
„Już umarł stary dziad“.

Inowrocław, w listopadzie 1936 r.

ZGON ADMIRAŁA KELLY.



Był to jeden z najwybitniejszych admirałów brytyjskiej floty wojennej. Zmarł w wieku 67 lat w czynnej służbie.

FOTOGRAFIA ZA 1500 DOLARÓW.

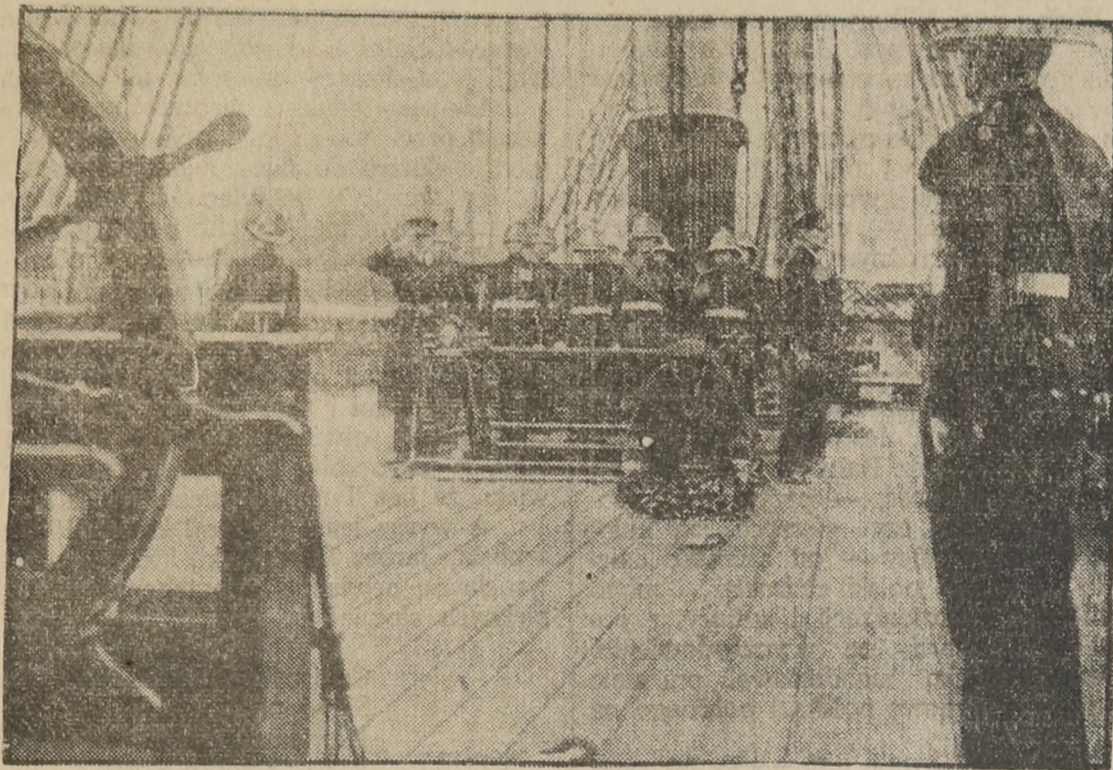


Na wielkiej amerykańskiej wystawie fotograficznej w Waszyngtonie pierwszą nagrodę i 1500 dolarów przyznano za zdjęcie rozmarzonego chłopca.

— Epigońska epika. Instytut Śląski w Katowicach, wydał wielki poemat epicki Ślązaka Norberta Bończyka pt. „Stary kościół Miechowski“, napisany w roku 1878. Wydanie to ma duże znaczenie propagandowe, ale forma utworu, wzorowana na Mickiewiczu z pominięciem istotnych cech poezji naszego wieszca, nie podnosi poziomu epiki polskiej z 19-tego wieku. Opracowanie krytyczne W. Ogrodzińskiego nastawia czytelnika na wybitność epiki Bończyka

— Trzeci rok pięknego i pożytecznego wydawnictwa. Już trzeci rok wychodzi w Ostrzeszowie (Wielkopolska) — miesięcznik poetycki pt.: „Okolica Poetów“. Redaguje go Stanisław Czernik. Pismo to wydaje także książki młodych poetów, walczy o polskość współczesnej twórczości, przez propagowanie zdrowego, pod względem treściwym głębokiego, autentyzmu.

— Piękny dar dla „Biblioteki Księży Chodyńskich“. Niezwykle cenny dar otrzymała Biblioteka Seminarium Duchownego we Włocławku. Księży Chodyńskich od Ks. Radey F. Pawelskiego prob. w Wojkowie. Darem tym jest jego księgozbiór, obejmujący 431 tomów dzieł o treści przeważnie historycznej, i 291 zeszytów „Przeglądu Powszechnego“. Wśród dzieł znajduje się niejedno wydawnictwo, dzisiaj wyczerpane, np. Pawińskiego — Dzieje ziemi Kujawskiej (5 t.), Ks. Korytkowskiego — Arcybiskupi Gnieźnieńscy (5 t.), Prałaci i kanonicy gnieźnieńscy (4 t.), Maciejewskiego — Piśmiennictwo polskie (3 t.), Rollego — Opowiadania historyczne (9 t.), Zameczki podolskie (3 t.), i inne. Hojnemu ofiarodawcy za piękny dar składa — Seminarium Duchowne serdeczne „Bóg Zapłać“.



Z racji 131 rocznicy bitwy pod Trafalgar, w której admirał Nelson pobił na głowę flotę hiszpańską i francuską, odbyło się na pokładzie jego okrętu flagowego „Victory” złożenie wieńca. Okręt „Victory” został — jak wiadomo — zamieniony na muzeum pamiątek po tym największym angielskim marynarzu wszystkich czasów.

PIOTR PALIŃSKI.

Niema Polski bez Kaszub

Kiedy przed laty trzydziestu losy mnie przetrzuciły z Wielkopolski do stolicy i dziedzictwa Samborów, Mestwinów, Świętopelków — do starożytnego Gdańska — by tam dla kaszubskiego ludu podjąć pracę jako redaktor „Gazety Gdańskiej”, a w jej niedzielnym dodatku jako Ojciec Bogumił dla jego dziatwy i nieść przed nim oświaty kaganiec, — wtedy to dopiero z bliska poznałem ten uczciwy, serdeczny i kochany ludek kaszubski i tę cudownie piękną jego krainę, tę ziemię kaszubską.

Dotychczas bowiem — za czasów rządów pruskich — było Pomorze, a szczególnie Kaszuby dla dalszych stron Polski, przedziwną, terra incognita — ziemią nieznaną; doznawała ona jawnego upośledzenia, a mieszkańców jej uważano za niepełnych Polaków. Wielcy nasi pisarze, którzy się umyślnie wybrali, aby poznać „piękną naszą Polskę całą”, — i to, dziś tak opiewane, ani o nie zawadzili, ani nawet półsłówkiem o niem nie wspomnieli. Nawet nasz umiłowany autor „Pieśni o ziemi naszej” zapomniał zgoła o tej nawszkroś polskiej krainie Ojczyzny naszej. To też mar kotny jeden z obywateli tej ziemi, odezwał się do Wincentego Pola lirnika ziemi polskiej, w te słowa:

Piewco polski! gdyś nam nucił,
Gdzie lud polski, czeladź Boża,
Czemuś okiem swem nie rzucił,
Na szlak Wisły aż do morza,
Po Bałtyku modre wody?
Byłbyś widział na wpół śpiące
Powalone polskie rody,
Dziś do życia wracające. —
Gdy więc, pieśń twa znów odpłynię,
Wlicz je w szereg polskich dzieci
Daj świadectwo tej krainie,
Nim twój duch ku niebu wzleci!

Niestety duch wieszczu uleciał, zanim zdołał zadosyć uczynić życzeniom serc mieszkańców nadbałtyckich

Przy moich wędrówkach po ziemi kaszubskiej jako redaktor po wiecach z przemówieniami, do towarzystwach z

wykładami, odczytami, ćwicząc śpiew kościelny i świecki, miałem sposobność, na tych kończynach naszej Ojczyzny, poznać nie tylko przepiękne okolice ziemi kaszubskiej, ale zastawałem tam wszędzie kwitnące w sile czysto polskie cnoty i obyczaje, z jakich ludność kaszubska daleko i szeroko słynęła i słynie, mianowicie religijność, miłość Ojczyzny i gościnność, pozatem jest ludek ten dla obcych mało przystępny, a opowiadają, że ma serce i charakter twardy jak jego ziemia i ostry klimat.

Ostoją polskości na tej ziemicy były i są kościoły — owe granitowe filary — podtrzymujące wiarę, a z nią narodowość Braci Kaszubów, i miłość do ich ojczystego kraju. Twierdzą oni, — i to jak najsluszniej, — że Ojczyznę można tylko wtedy duszą i sercem ukochać, gdy się taką samą miłością ukocha Kościół i wiarę, które się z nią tak silnie spoiły i zrosły, że stanowią jedno dzieje i jedno ciało.

Bo czy tylko — powiadają — szabla i okrzyk wojenny stworzyły Polskę i zrobiły ją wielką i szczęśliwą? A choćby tak było, to czy rękojeścią tej szabli, — począwszy od szczerbca Chrobrego, aż do szpady Kościuszki i ks. Józefa — nie był krzyż święty? A czy okrzykiem wojennym naszych hufców, — począwszy od pochodu Chrobrego na pohanów Pomorza i Rusi, aż do błoni Maciejowickich i Lipskich — nie było zawsze jedno hasło Bogarodzica?

Świątynie tej ziemi, wzniesione przez pobożnych przodków ludu kaszubskiego, upiękzone ofiarami i wielkich i małych mieszkańców tej ziemi, i uświęconych niezliczonymi rzeszami pobożnego ludu, które w nich składały dzięki za otrzymane łaski, i błagały Wszechmocnego o pomoc i ratunek w ciężkich chwilach smutku i trwogi, — świątynie te nieciły i podtrzymywały święty znicz wiary, miłości, języka ojczystego i rodzinnego kraju od pokolenia do pokolenia! Tam też, — chcąc poznać, choćby w zarysach dzieje ziemi kaszubskiej, — znajdzie turysta ku temu najwładniejsze pole!

I w tej swej krainie upatrzyła sobie nasza serdeczna Brac Kaszubska Ziemię Świętą, bo wedle podania i domorosłej geografii, to w Kościerzynie urodzić się miał Judasz Iszkariot, — drudzy apostołowie pochodzić mieli po więk-

szej części z Pucka, — Pan Jezus przyszedł na świat w Kartuzach, — a na Wejherowskiej Kalwarii dokonał krwawego swego dzieła, — Oliwa zaś (pod Gdańskiem) zajmuje miejsce rajy straconego! Tak to upoetyzował sobie pobożny ludek kaszubski swój kraj rodzinny!

W czasie swego pobytu na Kaszubach zebrałem dużo cennego materiału o mieszkańcach tej ziemi, ich kraju i ich dziełach, które po wszechświatowej wojnie za rządów naszej Najjaśniejszej Rzeczypospolitej — uzupełniłem bliższymi szczegółami, zaczerpniętymi z różnych dzieł czasów najnowszych.

Napisałem więc dziełko, które poprowadzi łaskawego czytelnika od miejscowości do miejscowości, przez całe Kaszuby, od północy aż do południowych granic, gdzie się ludność kaszubska zlewa w jedną językową całość polską. Niech ono będzie dla Szanownych Rodaków, przybywających w tę stronę, aby powitać nasz Bałtyk i poznać bliżej przytykający doń kraj i jego ludność, — przyjemnym drogowskazem przy wędrówkach, czy pieszych, czy kołowych po tej ziemi, której mieszkańcy — od początku dziejów zachowali wiernie rdzennie polski charakter, i mimo długotrwałego wysiłku obcej kolonizacji i kultury, z podziwu godną wytrzymałością, oparli się wynarodowieniu. W najcięższych okresach ucisku manifestowali oni stale związek z Ojczyzną, utrzymali mowę polską i polskiego na rodowego ducha.

Dla odrodzonej Polski są Kaszuby i Pomorze, jak ogni

wa wiążące ją z morzem polskim, skarbem najcenniejszym, z którą myślą polską, polska wola i praca sprzęgły się już nieodwołalnie. A skarbu tego nasza Polska już użyć potrafi — a wydrzeć go sobie nie pozwoli nikomu.

Główną jednak i nieocenioną wartość przedstawia ta kraina przez to, że jest „pomorzem“, — że z morzem graniczy i dostęp do niego własny Polsce zapewnia. Posiadając ten szczupły, bo tylko 140 km. długi skrawek wybrzeża, na którym fale Bałtyku polskiego dotykają ziemi, odgrywa Pomorze rolę wyjątkową i niczem nie zastąpioną — wśród wszystkich polskich dziedzin jedyną.

Nieustanna wroga akcja ze strony naszych „najsierdeczniejszych“ przeciwko Pomorzcu, nie pozwala zapomnieć ludowi polskiemu o skierowaniu wszystkich wysiłków dla obrony tej ziemi i tego morza, które jest jedyną, walną i szeroką bramą, otwierającą Polsce świat cały, — i uczy go tego, z czego sobie nie zdawał sprawy przez długie, długie wieki, że bez Pomorza niema Polski.

A wyraz temu dał pod koniec 19-tego wieku poeta kaszubski, Jarosz Derdowski, który i na Kujawach i w Inowrocławiu pewien czas przebywał w tych pamiętnych. — pięknych słowach:

Czujce tu ze serca toni
Skład nasz Apostołści:
Nie masz Kaszub bez Poloni
A bez Kaszub Polści!

Obrazek Matki Boskiej w Wielgolesie

Bawiąc temu parę lat w okolicach Minska Mazowieckiego, dowiedziałem się od miejscowej ludności, że w lesie maj. Wielgolas należącym do pp. Wyleżyńskich, miała się kiedyś objawić Matka Boska, lecz wobec nieuznania tego cudu przez tamtejszą ludność — „uszła“ gdzieś. Dziwnie niemile dotknął mnie ten wyraz „ujścia“; — boć przecież skoro Najświętsza Panna obrała sobie las ten na szczególną cześć, nie opuściłaby go napewno. Zaciekawiony udałem się na miejsce „Zjawienia“, jak je ludność tamtejsza pospolicie nazywa.

Tuż przy drodze, idąc od strony Budek - Wielgoleskich, stoją trzy krzyże, obok na sośnie obraz Matki Boskiej Częstochowskiej, w ramkach ubogich, swojskiej roboty, przyślonięty firankami, przyozdobiony sznurami koralami i kwieciami — przy sośnie źródło. Liczne ślady stóp świadczą o częstym uczęszczaniu tu ludzi. Całe to miejsce zrobiło na mnie dziwne wrażenie, które trudno wyrazić. Szukam kogoś, ktoby mógł mnie objaśnić, opowiedzieć historię tego miejsca, lecz napotykam na brak wiadomości. Każdy mówi tylko o czci oddawanej Najświętszej Pannie i o łaskach za Jej przyczyną niekiedy otrzymywanych — a historii obrazu nikt nie zna; od niepamiętnych lat zawsze wisiał na sośnie. Możliwe, że zawieszony został ręką powstańca, — idącego w bój o świętą sprawę narodową, co jest prawdą podobną wobec faktu, że w Wielkanoc po Rezurekcji i w drugi dzień Zielonych Świątek oddawna już gromadzili się tu ludzie, by pomodlić się za dusze ojców i dziadów oraz prosić Matkę Bożą o różne łaski, a także porozmawiać z sobą o różnych sprawach publicznych...

Tyle zebrawszy wiadomości, odjechałem. Tymczasem cześć dla Najświętszej Panny rosła w Wielgolesie z dniem każdym. Przybywały całe grupy ludzi i każdy miał coś do zawdzięczenia Matce Boskiej, za co dziękować; ze źródła czerpano wodę, która posiadała w sobie własności lecznicze. Gdy odprawiano nabożeństwo majowe, albo różańcowe wiernych już liczone na setki i tysiące, a przybywali nawet z Podlasia i sąsiednich powiatów. W umysłach przeto czcicieli Marii zrodziła się myśl wystawienia kaplicy w tym miejscu, a myśli tej przyświecała chęć poniesienia ofiar pieniężnych i materialnych. Właściciel majątku chętnie wydzielił plac, majster murarski i cieśla bezinteresownie ofiarowali swe prace — każdy co mógł ofiarował. Miała tu stanąć mała kapliczka i miejscowy ks. proboszcz w Latowiczu przy takiej obstawie, sprzeciwiając się budowie większej kaplicy. Przeto też nie postarano się o zatwier-

dzenie placu budowy, ani nie sporządzono aktu hipotecznego. Ale ludność obstawała przy swoim. — Mając przed sobą tak żywiołowe uczucie ludzi, proboszcz zmuszony był ustąpić. Lecz sprawa oparła się o Kurię Arcybiskupią w Warszawie, która stojąc na gruncie prawnym, nie zezwoliła na dalszą budowę, dopóki nie będą przeprowadzone formalności prawne: grunt ofiarowany pod kaplicę nie uzyska prawa własności kościelnej. Ludność strapiła się, gdyż wylaniało się tutaj wiele trudności ze względu na teren w lesie, w środku majątności. Jednakowoż z pomocą pp. Wyleżyńskich poszło wszystko dobrze. W sierpniu 1932 roku sporządzono akt darowizny u rejeńta w Warszawie, pod kaplicę pp. Wyleżyńscy ofiarowali 2040 mtr. kw. gruntu. Wobec sporządzenia aktu Komisja Architektoniczna Kurialna i władze wojewódzkie zatwierdziły plan, sporządzony przez architekta powiatowego w Mińsku Mazowieckim i teraz śmiało przystąpiono do dalszej budowy.

Obecnie, wracając z wycieczki po Podlasiu, zboczyłem umyślnie, by naocznie przekonać się o postępie rozpoczętego dzieła. I o dziwo, już zdążyła dolatywać głos dzwonu, zwiastującego nowinę, że budowę kaplicy już ukończono. Dzwon wzywa wierne dzieci Marii na nabożeństwo ku Jej czci raz w miesiącu odprawiane. Kaplica jest bardzo ładna i miła a nosi na sobie cechy kościołów pomorskich. — Ma ładną wysoką wieżyczkę i taras na frontonie kościoła, gdzie zbudowano ołtarz do odprawiania Mszy Świętej.

O łaskach otrzymywanych tam za pośrednictwem Matki Boskiej mówią wiele ci, co ich doznali i doznają. Miejscowy ks. proboszcz zebrał wiele podziękowań i zaświadczeń łask otrzymywanych, które okazane być mogą, gdy zajdzie tego potrzeba. Lecz dotąd władze kościelne nie wydały żadnych orzeczeń. Ale cześć Najświętszej Panny Wielgoleskiej rośnie i rozszerza się.

Leon Zwierz.

— „Pion“ zamknięty? W kołach literackich krąży pogłoska, że z dniem 1. stycznia 1937 roku ma przestać wychodzić tygodnik „Pion“, założony swego czasu z inicjatywy b. min. Janusza Jędrzejewicza. Potwierdza tę wiadomość fakt rozdania całej biblioteki „Pionu“ pomiędzy współpracowników.

Redaktor: Mieczysław Dereżyński